

MICHAEL
ONDAATJE

Angielski pacjent

PMI ZL SWE RE [y VOY
Z KH XSD IVE ; j VOYSVE E
XISSD IVE HPE REN PITWN O W XOM
[p I XMIN LM VMM XISSH RE G RIE



Podnosi się znad grządki w zapuszczonym ogrodzie – postanowiła go stopniowo uporządkować – i spogląda przed siebie, w przestrzeń. Wyczuwa zbliżającą się zmianę pogody. Wiatr ma inny dotyk, niesie z sobą jakieś inne odgłosy i mocny zapach cyprysów. Odwraca się i rusza w stronę domu, przeskakując niski murek ogrodowy, czuje na odsłoniętych ramionach pierwsze krople deszczu. Przebiega przez krążanek i wpada do wnętrza.

Nie zatrzymując się w kuchni, wchodzi po pogrążonych w ciemności schodach i szybkim krokiem przemierza długi korytarz. U jego końca światło pada na podłogę przez otwarte drzwi.

Wchodzi do pokoju, który też jest ogrodem – tyle że utworzonym z drzew i altan namalowanych na ścianach i suficie. Na łóżku leży mężczyzna: wystawia ciało na chłodne powiewy przeciągu. Wolno odwraca głowę ku wchodzącej.

* * *

Co cztery dni przemywa to szerniałe ciało, poczynając od stóp. Nawilża myjkę i wyżyma ją, przesuwając nad rannym, zrasza go wyciekającą wodą ostrożnie, wsłuchując się w po-

mrukiwania mężczyzny, wypatrując jego uśmiechu. Oparze-
liny powyżej goleni wyglądają najgorzej. Są czerwiejsze od
purpury. Prześwieca przez nie kość.

Opiekuje się nim już od miesiący i dobrze zna jego cia-
ło: penisa uśpionego niczym konik morski, wąskie, kościste
biodra. Biodra Ukrzyżowanego, myśli. Jej święty męczennik.
Mężczyzna leży na wznak, płasko, bez poduszki i patrzy
w górę na freski pokrywające sufit: splecione gałęzie, liście,
i wyżej jeszcze, na błękitne niebo.

Ostrożnie przemywa rivanolem te miejsca na piersiach,
gdzie poparzenia są mniejsze, gdzie może go dotykać. Lubi to
wklęśnięcie skóry pod ostatnim zębem, jej nagły uskok. Uno-
sząc go pod łopatki, delikatnie chłodzi mu oddechem kark, on
coś cicho mruczy.

– Co? – pyta, wytrącona ze swego skupienia.

Zwraca ku niej swą szerniałą twarz z szarymi oczyma.
Ona sięga ręką do kieszeni. Zdiera zębami skórę ze śliwki,
wyjmuje pestkę i wkłada mu owoc do ust.

On znów coś szepcze, wciągając młodą pielęgniarkę, całą
w niego zasłuchaną, tam gdzie przebywa myślami, w tę stud-
nię pamięci, którą będzie drażył uporczywie przez wszystkie
miesiące, które poprzedzą jego śmierć.

* * *

Opowieści, jakie mężczyzna snuje spokojnym głosem,
krążą w przestrzeni pokoju jak kołujące jastrzębie. Budzi się
w swej klatce, otoczony zewsząd płataniną kwiatów, kona-
rami potężnych drzew. Przypominają mu się dawne pikniki,
kobieta, która całowała jego ciało, teraz tak popalone, że przy-
pomina kolorem oberżynę.

Całe tygodnie przebywałem na pustyni, mówi, zapomi-
nając nawet popatrzeć na księżyc, tak jak mężowi zdarza się
nieraz i przez kilka dni nie spojrzeć na twarz żony. I nie jest to
grzech zaniedbania; po prostu co innego go zaprzęta.

Wbija wzrok w twarz młodej kobiety. Kiedy ona odwraca głowę, jego wzrok wędruje za jej spojrzeniem. Ona pochyla się nad nim. Jak doszło do tego wypadku?

Jest późne popołudnie. On skubie brzeg prześcieradła, muska je wierzchem dłoni.

Spadłem w płonącym samolocie na pustynię.

Znaleźli mnie dogorywającego, zrobili nosze z jakichś drągów i powlekli za sobą. To było gdzieś w okolicach Wielkiego Morza Piasku, przekraczaliśmy od czasu do czasu łożyska wyschłych rzek. Nomadzi, wiesz, Beduini. Samolot zarył się w piach, który przytłumił ogień. Zobaczyli, jak nagi wygrzebuje się z wraku. Skórzana pilotka tliła mi się na głowie. Przywiązali mnie do noszy, czy raczej toboganu, pięty obijały mi się o ziemię, kiedy mnie za sobą wlekli. Przemierzyliśmy w ten sposób kawał pustyni.

Beduini znali się na ogniu. Sporo wiedzieli o samolotach, które spadały z nieba, począwszy od 1939 roku. Z metalowych części rozbitych maszyn robili sobie różne narzędzia. W tym czasie wojna toczyła się w powietrzu. Potrafili rozpoznawać urywany warkot uszkodzonych samolotów, umieli znaleźć ich wraki. Najmniejsza nawet część pulpitu sterowniczego miała dla nich wartość klejnotu. Byłem dla nich zapewne pierwszym człowiekiem, który wydostał się z płonącej maszyny żywy, choć żarzyła się na nim pilotka. Nic o mnie nie wiedzieli. Ja nic nie wiedziałem o ich plemienu.

A kim jesteś?

Nie wiem. Ale nie przestawaj mnie o to pytać.

Mówiłeś, że jesteś Anglikiem.

* * *

Wieczorami nigdy nie jest na tyle zmęczony, by mógł zasnąć. Ona czyta mu różne książki, które znajduje w bibliotece na parterze. Odblask świecy pada na kartki, oświetla twarz czytającej na głos pielęgniarce, czasem też drzewa i pejzaże

przedstawione na ściennych malowidłach. Mężczyzna wsłuchuje się w jej głos, spijając słowa jak wodę.

Kiedy wieczór jest zimny, ostrożnie wślizguje się do łóżka i układa obok niego. Uważa, aby go nie dotknąć, nie sprawić mu bólu, nie może nawet oprzeć na nim ciężaru swej drobnej dłoni.

Czasem on nie zasypia aż do drugiej nad ranem, wpatrując się w ciemność.

* * *

Zapach oazy wyczuwał, jeszcze zanim mógł ją dostrzec. Wilgoć w powietrzu. Odgłosy życia. Poszum palm, brzęk wędzideł. Podzwanianie napełnionych wodą wiader wyciąganych z głębi studni.

Nasycali oliwą szmaty ze starych miękkich turbanów i okładali go nimi. Zostawał namaszczoney.

Stale wyczuwał przy sobie obecność jakiegoś milczącego mężczyzny, zapach jego oddechu, gdy ten pochylał się nad nim każdego wieczoru, odwijał szmaty i uważnie przypatrywał się poparzonej skórze.

Kiedy go tak obnażano, stawał się na powrót tamtym człowiekiem, który nagi wydostawał się z płonącego samolotu. Rozciągali nad nim płachty z szarego filcu. Podziwiał mądrość ludu, który go odnalazł. Skąd, z jakiej krainy pochodzą tak miękkie daktyle, które ów mężczyzna przeżuwał i wkładał mu do ust? Póki przebywał z tymi ludźmi, nie musiał też sobie przypominać, skąd do nich przybył. Dla nich był wrogiem strąconym z nieba.

Później, już w szpitalu w Pizie, zwidywało mu się każdej nocy, że widzi obok siebie twarz człowieka, który przeżuwa daktyle i rozmiękczone wkłada mu do ust.

Tamte noce nie miały barw. Mijały bez słów, bez pieśni. Beduini milkli, kiedy się budził. Spoczywał na swych noszach niczym na ołtarzu, wyobrażając sobie w swej próżności, że

otaczają go setki ludzi, a przecież mogło być tylko tych dwóch, którzy go uratowali, zrywając mu z głowy żarzącą się pilotkę. Tych dwóch, których rozpoznawał po smaku śliny, kiedy przełykał przeżute daktyle, albo po odgłosie biegnących stóp.

* * *

Usiadła i zabrała się do czytania; blask świecy padał na książkę. Od czasu do czasu rzucała okiem na dół, w głąb holu pałacu zamienionego w szpital polowy, w którym przebywała wraz z innymi pielęgniarkami, póki nie przeniesiono ich kolejno w inne miejsca, w ślad za przesuającą się na północ wojną, niemal już zakończoną.

Weszła w taki okres życia, w którym w książkach upatruje się jedynej drogi wyjścia na świat ze swej samotnej celi. Książki stały się więc połową jej świata. Siadywała przy nocnym stoliku i pochylona wczytywała się w historię hinduskiego chłopca, który uczył się rozpoznawać różne klejnoty i przedmioty ułożone na tacy, odsyłany do kolejnych nauczycieli – tych, co uczyli go dialektu, tych, co ćwiczyli z nim sztukę zapamiętywania, tych, co mu pokazywali, jak uniknąć hipnozy.

Książkę trzymała na kolanach. Uzmysłowała sobie, że od ponad pięciu minut wpatruje się w porowaty papier, w zagięty róg stronicy siedemnastej, z którego ktoś kiedyś zrobił sobie zakładkę. Wygładziła dłonią płaszczyznę kartki. Myśl spłoszona jak mysz w pułapce, ćma za ciemną szybą. Spojrzała w dół, w głąb holu, choć nikogo nie było w Villa San Girolamo oprócz niej i tego rannego Anglika. Uprawiała kilka grządek w rozoranym bombami sadzie powyżej domu, warzyw wystarczało dla nich obojga, a z miasta od czasu do czasu przyjeżdżał pewien człowiek; sprzedawała mu mydło i prześcieradła, i co tam jeszcze zostało z zaopatrzenia szpitala polowego w zamian za inne niezbędne rzeczy. Trochę fasoli, czasem mięso. Mężczyzna zostawił jej dwie butelki wina i każdej nocy, kiedy Anglik już zasypiał, wychodziła z poko-

ju, pozostawiając niedomknięte drzwi, nalewała sobie ceremonialnie szklaneczkę, zanosila ją na nocny stolik i popijała, zagłębiając się w czytana właśnie książkę.

Dla Anglika zaś, niezależnie od tego, czy słuchał uważnie, czy nie, książki zawierały luki w toku akcji, tak jakby powódź rozmyła odcinek drogi, brakowało pewnych epizodów, jakby mole wygryzły dziury w kilimie albo też jakby z popękanych od wstrząsów ścian wykruszył się nocą płat fresku.

Pałac, w którym przebywała wraz z Anglikiem, tak właśnie wyglądał. Do niektórych pokoiw nie można było wejść, bo zalegał w nich gruz. Do biblioteki na dole przez wyrwę po pocisku zaglądał księżyc i wpadał deszcz – stojący w pobliżu fotel był wiecznie namokły.

Nie przejmowała się tymi lukami w pamięci Anglika, skoro i on nic sobie z nich nie robił. Nie streszczała mu rozdziałów, których nie pamiętał. Po prostu otwierała książkę i oznajmiała: „strona dziewięćdziesiąta szósta” albo „strona sto jedenasta”. Były to jedyne wskazania, jakich mu udzielała. Przykładała sobie obie jego dłonie do twarzy i wachała je – ciągle wydzielały woń choroby.

Twoje ręce robią się szorstkie, mówił.

To przez zielsko i osty. I od łopaty.

Uważaj na siebie. Ostrzegam cię, tu się kryją różne niebezpieczeństwa.

Wiem.

I wtedy zaczynała czytać.

Dzięki ojcu posiadała wiedzę o dłoniach. O psich łapach. Ilekroć zostawał w domu z psem sam, schylał się nad nim i wachał skórę w miejscu, gdzie sierść stykała się z opuszkami palców psich łap. Mawiał, że to najpiękniejszy zapach na świecie, jakby chodziło o aromat brandy. Ten bukiet! Wspaniałe wieści z podróży! Próbowwała okazywać niechęć, ale psie łapy były naprawdę cudem, nigdy nie wydzielały woni brudu. Są jak katedra, prawil ojciec, jak wspaniały ogród, jak porośnięte tra-

wą błonie, jak przechadzka wśród cyklamenów – koncentrat zapachów ze wszystkich ścieżek, jakimi zwierzę wędrowało w ciągu dnia.

Gonitwa myśli jak spłoszonych myszy; znów oderwała wzrok od książki.

* * *

Zdjęli mu z twarzy maskę z suchych traw. Dzień zaćmienia. Na ten dzień czekali. Gdzie też się znalazł? Jakaż to cywilizacja umiała tak przewidywać pogodę i zaćmienia Słońca? El Ahmar albo El Abyadd, bo musiało to być jedno z plemion z północno-zachodniej części pustyni. Takie, które umiało odnaleźć człowieka strąconego z nieba, osłonić mu twarz maseczką ze splecionych trzciny oazowych. Miał teraz wytrwałość traw. Kiedyś jego najbardziej ulubionym ogrodem był ogród traw w londyńskich Kew Gardens – kolory tak delikatne i urozmaicone jak odcienie kolejnych warstw popiołu na pustynnym urwisku.

Przypatrywał się teraz krajobrazowi w czasie zaćmienia. Uczyli go wznosić ramiona i chłonać w ciało siły ze wszechświata, tak jak pustynia ściąga z nieba samoloty. Nosili go na filcowej płachcie rozpiętej na gałęziach. Patrzył na klucze flamingów przelatujące w polu jego widzenia w półmroku przysoniętego słońca.

Skórę zawsze pokrywała mu maść albo osłaniał mrok. Pewnej nocy usłyszał coś, co wydało mu się grą wicherów gdzieś wysoko na niebie. Owo coś ucichło po chwili, a on zasnął, czując głód tego dźwięku, powściąganego głosu ptaka, może flaminga, albo lisa pustynnego, którego jeden z mężczyzn nosił w zaszytej do połowy kieszeni burnusa.

Następnego dnia, leżąc zakryty derką, usłyszał urwane, zgrzytliwe odgłosy. Dźwięki wydobywające się z ciemności. O zmroku zdjęli z niego derkę i ujrzał mężczyznę zbliżającego się do niego ruchem tak posuwistym, jakby jego głowa prze-

suwała się po stole. Po chwili zobaczył, że mężczyzna ma na sobie ogromne jarzmo, z którego zwisają setki małych buteleczek na sznurkach i drucikach różnej długości. Jego sylwetka poruszająca się tak płynnie, jakby stanowiła część tej szklanej kurtyny, była tą kurtyną szczelnie zasłonięta.

Postać przypominała większość tych wszystkich rysunków przedstawiających archanioły, które próbował kopiować jako uczeń, nigdy nie zastanawiając się nad tym, w jaki sposób ciało mogłoby pomieścić w sobie mięśnie zdolne poruszać takimi skrzydłami. Mężczyzna posuwał się wydłużonymi, powolnymi krokami, buteleczki wcale się przy tym nie kolebały. Szklana fala, archanioł, wszelakie maści w buteleczkach nagranych słońcem tak, że kiedy nakładano mu je na skórę, wydawały się specjalnie podgrzane dla rannego. Za mężczyzną załamane światło – błękit i inne kolory rozsiane wśród mgiełek i piasku. Leciutki pobrzęk szkła i zmienność barw, monarszy krok i twarz jak wąskie, ciemne ostrze.

Szyki buteleczek były chropowate i zapiaszczone – szkło, które przeniesiono w inną cywilizację. Każda buteleczka zatkana była korkiem, mężczyzna wyciągał go zębami i trzymał w wargach, gdy mieszał zawartość butelki z zawartością innej; drugi korek także trzymał w zębach. Stał ze swymi skrzydłami nad nieruchomo leżącym, poparzonym ciałem, wbił dwa kije głęboko w piasek, zdjął z siebie owo olbrzymie jarzmo i zawiesił je na nich. Wydostał się ze swego sklepika i przyklęknął nad poparzonym pilotem, położył mu chłodne dłonie na karku i przytrzymał je tam.

Znany był wszystkim wędrowcom podążającym wielbłądzim szlakiem na północ, z Sudanu do Gizy, zwanym Szlakiem Czterdziestodniowym. Wychodził naprzeciw karawanom, sprzedawał zioła i napary, krążył między oazami i wodopojami. Przedzierał się przez burze piaskowe w swym płaszczu z buteleczek, uszy miał zatkanie dwoma małymi koleczkami, tak że sam sobie wydawał się zamkniętym naczy-

niem, ten wędrownny lekarz, ten król maści i wonności, król panaceów, ten osobliwy chrzciciel. Wkraczał do obozów i rozstawiał swą zasłonę z buteleczek przed każdym, kto był chory.

Przysiadł przy poparzonym mężczyźnie. Uformował małą skórzaną czarękę ze swych zsuniętych stóp i nawet się nie oglądając, sięgnął poza siebie po kilka buteleczek. Kiedy je odkorkowywał, z każdej wydobywał się szczególny zapach. Była wśród tych aromatów woń morza. Był zapach rdzy. Indygo. Atramentu. Mułu rzecznego, formaliny, parafiny, eteru. Przyptyw zmieszanych woni. Porykiwanie wielbłądów skądś z oddali, gdzie rozbijano namioty. Zaczął wcierać rannemu ciemnozieloną maść w skórę na klatce piersiowej. Była to roz-tarta kość pawia – rozpowszechniony na zachodzie i południu najskuteczniejszy lek na oparzenia.

Drzwi znajdujące się między kuchnią a zburzoną kaplicą wiodły do owalnej sali bibliotecznej. Wnętrze wydawało się całe, tylko w górnej części ściany przed dwoma miesiącami pocisk artyleryjski wyrwał wielką dziurę. Komnata dostosowała się do tego okaleczenia, godząc się na kaprysy pogody, nocne gwiazdy, ptasi śpiew. Znajdowały się w niej sofa, fortepian przykryty szarym płóciennym pokrowcem, wypchana głowa niedźwiedzia i wysokie regały zastawione książkami. Półki stojące najbliżej okaleczonej ściany zalewane były deszczem, który podwajał ciężar ustawionych na nich książek. Przez dziurę wdzierало się też światło błyskawic, prześlizgując się po pokrowcu fortepianu i po dywanie.

Po przeciwnej stronie sali znajdowały się zabite deskami drzwi na taras. Gdyby dało się je otwierać, mogłaby przejść wprost z biblioteki do trzydziestu sześciu wyszczerbionych schodków obok kaplicy i wydostać się na coś, co było kiedyś łąką, a co teraz rozorały bomby i eksplozje. Wycofująca się armia niemiecka zaminowała wiele budynków, dlatego niesprawdzone przez saperów pomieszczenia zamykano, dla bezpieczeństwa przytwierdzając gwoździami drzwi do futryny.

Zdawała sobie sprawę z zagrożenia, gdy wchodziła do tej komnaty o zmierzchu. Stąpała ostrożnie po drewnianej podłodze, myśląc, że starczyłoby ciężaru jej ciała do uruchomienia każdego zapalnika, gdyby znajdował się pod klepkami. Stopy w kurzu. Jedynym źródłem światła była wyrwa w ścianie, wpatrzone w niebo. Wyciągnęła z półki tom *Ostatniego Mohikanina* – wydał przy tym odgłos, jakby go odrywano od jakiejś zlepionej całości – i nawet w tym nikłym świetle zachwyciła się jasnobłękitną barwą nieba i jeziora na okładce książki, z Indianinem na pierwszym planie. Później zaś, zupełnie jakby miał w tej komnacie przebywać ktoś, komu nie wolno przeszkadzać, wycofała się z niej na palcach, stąpając po własnych śladach – dla bezpieczeństwa, ale także prowadząc swoją małą grę, grę mającą stworzyć wrażenie, że ktoś wszedł do tej sali, a następnie w niepojęty sposób zniknął. Zamknęła drzwi i zawiesiła na klamce ostrzeżenie przed minami.

Przysiadła w niszy okiennej w pokoju rannego Anglika, mając po jednej stronie ściennie malowidła, a po drugiej widok na dolinę. Otworzyła książkę. Kartki były pozlepiane. Czowała się jak Robinson znajdujący księgę wyrzuconą przez morze i schnącą na nabrzeżnym piasku. *Opowieść z roku 1757*. Zilustrował N.C. Wyeth. Jak zawsze w dobrych książkach, znajdował się tam spis ilustracji; każdej poświęcono osobną linijkę.

Wkroczyła w tę opowieść z poczuciem, iż wdziera się w życie innych, w intrygę powieściową, która cofnie ją o dwieście lat; cała wypełniła się zadaniami i zdarzeniami, jakby budziła się ze snu przytłoczona niezapamiętanymi majakami.

* * *

Położone na wzgórzach włoskie miasteczko, strzegące drogi na północny zachód, oblegano przez ponad miesiąc. Ostrzał artyleryjski skupiał się na dwóch pałacach i klasztorze otoczonym sadem; rosły w nim jabłonie i śliwy. W Villa Medici rezydowali generałowie. Położona nieco wyżej Villa Girolamo,

w której uprzednio mieścił się żeński klasztor, dzięki swym przypominającym zamek umocnieniom zamieniona została przez armię niemiecką w prawdziwą twierdzę. Broniły jej liczne oddziały. Kiedy miasteczko na wzgórzu starto z powierzchni ziemi, tak jak się zatapia okręt na morzu, żołnierze opuścili namioty rozstawione w sadzie i zapełnili sypialnie dawnego konwentu żeńskiego.

Kaplicę częściowo wysadzono w powietrze. Część górnej kondygnacji zburzyły bomby i pociski. Kiedy wojska sprzymierzonych zdobyły w końcu budynek i zamieniły go w szpital, schody wiodące na trzecie piętro zabarykadowano, choć ocalał tam kominek i strop.

Zarówno ona, jak i Anglik nalegali, by ich tu pozostawić, gdy pozostałe siostry i pacjentów ewakuowano w bezpieczniejsze miejsca na południu. Marzli w tym czasie, pozbawieni byli elektryczności. Z niektórych komnat o zburzonych ścianach roztaczał się widok wprost na dolinę. Kiedy otwierała drzwi i zaglądała do wnętrza, znajdowała tam co najwyżej rozmokłe łóżko stojące w kącie, zasłane opadłymi liśćmi. Drzwi wiodły wprost w krajobraz na zewnątrz. Kilka takich pokoi zamieniło się w rodzaj ptaszarni.

Dolne stopnie na klatce schodowej uległy zniszczeniu w czasie pożaru; ogień podłożyli wycofujący się żołnierze. Wyniosła naręczę ksiąg z biblioteki i ułożyła z nich dwa najniższe, zastępcze schodki. Większość krzeseł porąbano na opał. Fotel z biblioteki ocalał, ponieważ był zawsze mokry; wieczorne burze ustawicznie zalewały go wodą przez wyrwę po pocisku. W kwietniu 1945 roku spalenia uniknęło tylko to, co było mokre.

Zachowało się kilka łóżek. Zasmakowała w nomadzkich przenosinach z pokoju do pokoju, z hamakiem lub śpiworem; czasem sypiała w pokoju rannego Anglika, czasem w holu, w zależności od temperatury, wiatru i nasłonecznienia. Rankami zwijała posłanie w rulon i związywała sznurem.

W miarę jak się ocieplało, wykorzystywała coraz to nowe pomieszczenia, wietrząc zatechłe kąty, pozwalając słońcu osuszać zacieki. W niektóre noce pozostawiała drzwi otwarte i układała się do snu w pomieszczeniach pozbawionych w wyniku bombardowania zewnętrznych ścian. Kładła się na łóżku polowym na samym skraju ocalałej podłogi i wpatrywała w pejzaż nocnego nieba, w gwiazdy i przesuwające się obłoki. Budziły ją grzmoty i błyskawice. Miała dwadzieścia lat, zatraciła w owym czasie lęk przed niebezpieczeństwem, nie odczuwała niepokoju na myśl o zagrożeniach, jakie mogły stwarzać miny podłożone w sali bibliotecznej, nie bała się błyskawic, które ją budziły po nocach. Zmęczyły ją mroźne miesiące zimowe, kiedy musiała przebywać w ciemnych, osłoniętych pomieszczeniach. Wędrowała teraz po zaśmieconych przez żołnierzy pokojach, które ogrzewano, pałac porabane meble. Wymiała z nich liście i zaschłe odchody, wynosiła nadpalone stoły. Wiodła taki włóczęgowski tryb życia, podczas gdy ranny Anglik wylegiwał się w łóżku jak król.

Z zewnątrz budynek sprawiał wrażenie zdewastowanego. Schody wiodące do drzwi wejściowych były od połowy zerwane, zwisały z nich pogiete poręcze. Życie ich dwojga sprowadzało się do zdobywania pożywienia i prób zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Wieczorami używali tylko małych świeczek w obawie przed bandytami, którzy grabili wszystko, co napotkali. Szansą było to właśnie, że pałac wydawał się ruiną. Czuła się w nim jednak bezpiecznie – na poły dorosła, na poły dziecko. Mając za sobą to wszystko, co przydarzyło się jej w latach wojny, wypracowała sobie kilka zasad postępowania. Nigdy już nie podda się żadnym nakazom ani nie podejmie żadnych obowiązków w imię wyższego dobra. Będzie się opiekowała wyłącznie rannym Anglikiem. Będzie mu czytała, obmywała go i podawała morfinę – i tylko z nim będzie się porozumiewać.

Krzątała się po ogrodzie i sadzie. Wydobyła ze zburzonej kaplicy duży, ponadpółmetrowy krucyfiks i zrobiła z niego stracha na wróble, umieszczając go na uprawianej grządce. Puste puszki po sardynkach grzechotały zawieszono u jego ramion i dzwoniły przy każdym podmuchu. Wędrowała sobie poprzez rumowiska we wnętrzu willi ku oświetlonej płomykiem świecy alkwie, gdzie trzymała swą starannie zapakowaną walizkę, w której było niewiele rzeczy – kilka listów, parę zwiniętych w ruloniki ubiorów i metalowe pudełko ze środkami sanitarnymi. Uporządkowała już część pałacu, a całą resztę mogłaby spalić, gdyby zechciała.

* * *

Stojąc w mroku holu, zapala zapałkę i przytyka ją do knota świecy. Odblask pada na jej ręce. Klęka. Opiera dłonie o uda i wdycha zapach siarki. Wydaje się jej, że wdycha światło.

Cofa się trochę i kawałkiem białej kredy kreśli na drewnianej podłodze prostokąt. Potem cofa się jeszcze, dalej kreśląc prostokąty, tak że tworzy się z nich piramida, pojedynczy prostokąt następuje po podwójnym. Lewą ręką wspiera się o podłogę, głowę trzyma opuszczoną; wyraz powagi na twarzy. Oddala się coraz bardziej od światła. Aż wreszcie przysiadła na piętach.

Kredę chowa do kieszeni. Podnosi się i zadzierając spódnicę, owija ją sobie ściśle wokół talii. Z drugiej kieszeni bluzy wyjmuje kawałek metalu i rzuca go tak, żeby upadł poza obrębem najdalszego prostokąta. Skacze przed siebie ze złączonymi stopami, cień podskakuje wraz z nią, wydłużając się w głębi holu. Porusza się szybko, jej tenisówki mierzą prosto w numery, które wypisała pośrodku poszczególnych prostokątów, skacze to na jednej nodze, to na obu, aż dociera do ostatniego prostokąta.

Nachyla się i podnosi z ziemi kawałek metalu, zastygając w tej pozycji, z opuszczonymi rękoma, ciężko oddychając. Bierze głęboki wdech i zdmuchuje świecę.

Stoi teraz w ciemnościach. Swąd zgaszonej świecy.

Wyprostowuje się i półskokiem odwraca, a potem rusza w drogę powrotną, w głąb ciemnego holu, skokami jeszcze szybszymi niż poprzednio, wciąż opadając na prostokąty, o których wie, że muszą być tam, gdzie były; jej tenisówki odrywają się od podłogi i padają na nią – echo roznosi dźwięki po całym zrujnowanym włoskim pałacu, i dalej jeszcze, ku wąwozowi zalanemu poświęcią księżycy.

* * *

Niekiedy nocą ranny mężczyzna słyszy jakieś ciche szmeiry dobiegające z wnętrza budynku. Natęży słuch, skupiając na nich całą uwagę, ale ciągle nie potrafi ani określić charakteru tych odgłosów, ani ustalić, skąd się biorą.

* * *

Otwiera notatnik leżący na stoliku przy jego łóżku. Jest to książka, wyniesiona z ognia, egzemplarz *Dziejów* Herodota, w który jej pacjent wklejał wyrwane strony innych książek, na którym notował na marginesie własne uwagi – tak że wniknęły w tekst autora.

Zaczyna odczytywać jego drobne, niezgrabne pismo.

* * *

Jest taki rodzaj trąby powietrznej w południowym Maroku, *aafej*, przed którym fellachowie bronią się nożami. Jest też *africo*, który niekiedy docierał aż do Rzymu. Jest *alm*, jesienny wiatr dmący z Jugosławii. Jest *arifi*, zwany też *aref* albo *rifi*, który zachowuje ten sam pałacy żar mimo różnych nazw. Są to wiatry stałe, mówi się o nich zawsze w czasie teraźniejszym.

Są także wiatry inne, uderzające zniecka, które ciągle zmieniają kierunek i potrafią obrócić jeźdźca wraz z koniem jak wskazówkę wokół tarczy zegara. Taki *bist roz* szaleje w Afganistanie przez 170 dni i całe wioski obraca w perzynę.

Gorący, suchy *ghibli* dmie uparcie z Tunisu, wprawiając ludzi w stan rozdrażnienia. *Haboob* – burza piaskowa z Sudanu – niesie wysoką na kilometr jasnożółtą ścianę, za którą idzie deszcz. *Harmattan* dociera aż do Atlantyku i zdaje się w nim tonąć, *imbat* jest bryzą morską z Afryki Północnej. Niektóre wichry wzbijają się wprost w niebo. Nocne burze piaskowe, które przynoszą chłody. *Khamsin*, burza piaskowa trwająca w Egipcie nieprzerwanie od marca do maja; jej nazwa pochodzi od arabskiego wyrazu oznaczającego „pięćdziesiąt”, ponieważ *khamsin* nie ustaje przez pięćdziesiąt dni – dziewiąta plaga egipska. *Datoo* z Gibraltaru niesie z sobą różne wonie.

Jest wreszcie tajemniczy wiatr pustynny, którego nazwy zakazał używać pewien król, po tym jak wiatr ów pochłonął jego syna. I *nafhat* – podmuch z Arabii. Jest *mezzar-ifoullousen* – gwałtowny i zimny wicher południowo-zachodni, zwany przez Berberów „ten, który wyrywa ptakom pióra”. Jest także *beshabar*, mroczny i suchy północno-wschodni wiatr dmący z Kaukazu, „czarny” wicher. A wreszcie *samiel* z Turcji, „wiatr trujący”, który często wykorzystywano w czasie wojen. Są też inne „trujące wiatry”, takie jak *simoom* z Afryki Północnej i *solano*, który niesie wraz z piaskiem płatki kwiatów i powoduje zawroty głowy.

I inne jeszcze, osobliwe wiatry. Rozlewające się po ziemi jak powódź. Zdzierające z przedmiotów barwy, zrywające przewody telefoniczne, miotające kamieniami, toczące pozwalane głowy posągów. *Harmattan* przemierza Saharę, niosąc z sobą czerwony pył, palący jak ogień, drobny jak mąka, wciskający się do wnętrza luf i zamków karabinowych. Marynarze nazywają ten czerwony wiatr „morzem ciemności”. Czerwone drobiny piasku z Sahary docierały aż do Kornwalii i hrabstwa Devon, zabarwiając padające tam gwałtowne deszcze tak intensywnie, że brano je za broczącą z nieba krew. „O krwawych deszczach donoszono z Portugalii i Hiszpanii w roku 1901”.

Miliony ton piasku unoszą się w powietrzu od zawsze, tak jak od zawsze miliony metrów sześciennych powietrza zawarte są w glebie, a przebywa w niej znacznie więcej żywego mięsa (dżdżownic, robaków, podziemnych żyjątek) niż na powierzchni ziemi. Herodot opowiada o zatracie armii pochłoniętych przez *simoom*, których nigdy już nikt nie zobaczył. Pewne plemię „tak rozwścieczył ten diabelski wicher, że wydało mu wojnę i wystąpiło przeciw niemu w pełnym oryndku bojowym, po to tylko, by dać mu się całkowicie pochłonać”.

Burze piaskowe występują w trzech postaciach. Jako wir. Jako słup. Jako płachta. W pierwszym przypadku niknie horyzont. W drugim otaczają cię „tańczące czarty”. W trzecim nakrywa cię płachta „koloru miedzi. Wydaje się, że cała przyroda stanęła w płomieniach”.

* * *

Odrywa wzrok od książki i widzi, że Anglik się jej przypatruje. Odzywa się do niej w ciemnościach.

* * *

Beduini mieli powody, żeby mnie utrzymać przy życiu. Byłem im potrzebny, rozumiesz. Ktoś ich zapewnił, że dowiodłem sporej zręczności, kiedy samolot spadał na pustynię, że umiem rozpoznawać nieopatrzone nazwami miasta na podstawie szkiców sytuacyjnych. Nosilem w sobie zawsze mnóstwo informacji. Jestem kimś takim, kto pozostawiony sam sobie w obcym mieszkaniu podchodzi do półki z książkami, wyjmuje jakiś tom i zagłębia się w nim. Bo jesteśmy przecież przesyleni historią. Znam się na mapach dna morskiego, mapach geofizycznych, wyrysowanych na skórze mapach ukazujących szlaki krucjat.

Wiedziałem więc, gdzie się znajduję, zanim spadłem, wiedziałem, że w dawnych wiekach przemierzał te przestrzenie Aleksander Wielki, w tym samym co ja celu i z tą samą pasją.

Znałem obyczaje nomadów owładniętych namiętnością do jedwabiu. Zachłannie strzegących źródeł wody. Jedno z plemion zmieniło zabarwienie całego dna doliny, pokrywając je czernią, by zwiększyć konwekcję, a tym samym prawdopodobieństwo opadów, i wznosiło wysokie konstrukcje, by chwycić od spodu wędrujące chmury. Inne znów plemiona unosiły w stronę nadchodzącego wiatru rozczapierzone dłonie. Wierzyły, że jeśli zastosują ten sposób we właściwym momencie, zdołają skierować burzę w inne rejony pustyni, obrócić ją przeciw innym, mniej kochanym przez bogów plemionom. Ludy te odchodziły w przeszłość, stawały się historią, piasek przysypywał ich ostatnie tchnienie.

Na pustyni łatwo zatracić zdolność różnicowania przestrzeni. Kiedy spadałem z nieba na te żółte rzeczne łożyska, jedyną myślą, jaka mną owładnęła, było to, że muszę sobie zbudować tratwę. Muszę zbudować tratwę.

I tam, na tym suchym piasku, odczuwałem, że znalazłem się wśród ludzi związanych swym życiem z wodą.

Widziałem w Tassili malowidła ściennie pochodzące z okresu, kiedy ludy saharyjskie łowiły z trzciniowych tratw koniki morskie. W Wadi Sura oglądałem jaskinie, których ściany pokryte były malowidłami przedstawiającymi pływaków. W pobliżu musiało się kiedyś znajdować jezioro. Mógłbym im na ścianie wyrysować jego kontury. Mógłbym ich zaprowadzić nad jego brzeg, ten sprzed sześciu tysięcy lat.

Zapytaj marynarza, jak wyglądał najstarszy żagiel, a opisze ci żagiel trapezoidalny, rozpięty na maszcie trzciniowej tratwy, takiej, jakie widzimy na malowidłach skalnych w Nubii. Predynastycznej. Ciągłe odnajduje się na pustyni harpuny. Zamieszkiwali ją ludzie oswojeni z wodą. Nawet dzisiejsze karawany przypominają swym ruchem rzekę. A dziś woda jest tu czymś obcym. Jest wygnańcem, sprowadzanym na powrót w bańkach i flaszkach, jest duchem nawiedzającym twe dłonie i twe usta.

Kiedy trafiłem między nich, niepewny, gdzie się znajduję, jedyną rzeczą, jakiej mi było trzeba, była nazwa jakiegoś niewielkiego łańcucha wzgórz, jakiś lokalny obyczaj, jakieś szczątki prehistorycznego zwierzęcia – a mapa świata powróciłaby w mej pamięci na swoje miejsce.

Cóż większość z nas wie o tych połaciach Afryki? Armie Nilu przesuujące się w tę i z powrotem – pole bitewne wdzierające się na sześćset kilometrów w głąb pustyni. Czołgi typu Whippet, bombowce średniego zasięgu typu Blenheim. Dwupłatowce bojowe Gladiator. Osiem tysięcy ludzi. Ale ktoś jest przeciwnikiem? A kto sojusznikiem tych miejsc – żyznych ziem Cyrenajki, solanek Al-Ukajla? Wszyscy Europejczycy toczą swe wojny w północnej Afryce, w Sidi Rezegh, w Baguoh.

* * *

Przez pięć dni Beduini wlekli go za sobą na noszach w ciemności, nakrytego derką. Spoczywał pod tym nasączonym oliwą nakryciem. A potem nagle temperatura spadła. Doszli do doliny położonej na dnie kanionu o wysokich, czerwonych ścianach, dołączając tu do plemienia owych pustynnych wodniaków, którzy żeglowali po piasku i prześlizgiwali się po kamieniach, powiewając połami błękitnych szat jak skrzydłami. Zdjęli zeń miękkie okrycie, z jego chłonnącego wilgoć ciała. Był na dnie wąwozu. Myszołowy wysoko ponad nimi spoglądały – jak od tysiąca lat – w dół, w tę szczelinę skalną, w której rozbili obóz.

Rankiem zanieśli go daleko w głąb *siq*. Wiedli przy nim głośne rozmowy. Teraz rozpoznał dialekt, jakim mówili. Sprowadzono go tutaj ze względu na broń znajduwaną na pustyni.

Położono go z zasłoniętą twarzą skierowaną ku czemuś nieokreślonemu, ręką sięgnąć mógł o jakiś metr przed siebie. Po wielu dniach podróży ruch o jeden metr. Pochyla się do przodu, namacał coś wyciągniętą ręką. Dłoń naciska owo coś i otwiera. Rozpoznał magazynek stena, a jakaś ręka zaraz mu

go odebrała. Głosy zamilkły. Znalazł się tutaj, aby im objaśnić różne typy broni.

– Dwunastomilimetrowy karabin maszynowy Breda. Włoski.

Odciągnął zamek, wsadził do komory palec, by stwierdzić, czy nie ma tam naboju, i nacisnął spust. Przytyk.

– Słynna broń – wyszeptał.

Przesunięto go dalej.

– Francuski siedmioipółmilimetrowy châtellerault. Lekka broń maszynowa. Z tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Niemiecki siedmioipółmilimetrowy MG-piętnaście, na wyposażeniu lotników.

* * *

Przesuwano go kolejno do każdego z typów broni. Musiały pochodzić z różnych okresów i z wielu krajów, takie muzeum na pustyni. Wymacał kształt lufy i magazynka, naciskał spust. Wymieniał nazwę broni i przenoszono go do następnej. Przedstawiono mu ich osiem. Głośno wykrzykiwał nazwy, wymieniał je po francusku, a potem w języku plemienia. Ale jakież to mogło mieć dla nich znaczenie? Być może nie byli ciekawi nazw, ale chcieli wiedzieć, jaka właściwie ta broń jest.

Ujęto go za nadgarstek i zanurzono mu dłoń w pudle z nabojami. W innym pudle po prawej stronie znajdowały się kolejne naboje, siedmiomilimetrowe dla odmiany. I jeszcze inne.

Kiedy był dzieckiem, zajmowała się nim ciotka; rozkładała na trawniku talię zakrytych kart i uczyła go gry polegającej na tym, że każdy z graczy miał prawo odkryć dwie karty i w pamięci łączyć je z kartami innych. Ale działało się to w innym otoczeniu, wśród strumieni pełnych pstrągów, wśród głosów ptaków, które mógł rozpoznać nawet z urywków trelu. Był to świat w pełni nazwany. Teraz, mając twarz zasłoniętą maską ze splecionych trzcin, wyjmował z pudła nabój i wskazywał broń, do której pasował, wkładał go do komory, repetował

broń i oddawał strzał w powietrze. Huk odbijał się od ścian wąwozu. *Albowiem echo jest jak dusza głosu, co się rozbudza w miejscach opustoszałych.* Pewien ponury człowiek uważany za obłąkanego zapisał to zdanie w czasie pobytu w angielskim szpitalu. A on sam tu – na pustyni, był w pełni władz umysłowych, jasno myślał, rozkładał karty i z łatwością układał je na powrót, posyłał szeroki uśmiech ciotce i wystrzeliwał w niebo kolejną szczęśliwą kombinację, na co niewidzialni ludzie wokół niego odpowiadali szczerym śmiechem. Zwracał się na swym palankinie w jedną stronę, potem ponownie pochyłał, tym razem nad bredą, a asystujący mu człowiek nożem wydrapywał znaki na lufie i na odpowiednim pudle z nabojami. Zasmakował w tym – ruch i śmiech po długiej samotności. Odwdzięczał się swymi umiejętnościami ludziom, którzy mu uratowali życie.

* * *

Wędrując z nimi, trafiał do wiosek, w których nie było kobiet. Kolejne plemiona przekazywały sobie jego wiedzę jak użyteczne narzędzie. Plemiona składające się z ośmiu tysięcy indywidualności. Stykał się z osobliwymi obyczajami i osobliwą muzyką. Wsłuchiwał się, zwykle z twarzą zasłoniętą maską, w przypominające przepływ wody pieśni plemienia Mzina, w tańce *dahhiya*, w dźwięk fletów używanych do przekazywania wiadomości w pilnej potrzebie, w dźwięk fletów podwójnych *makruna* (jedna rurka ustawicznie wydawała dźwięk basowy). Potem dotarli na terytorium pięciostrunowej liry. Do wioski w oazie wypełnionej preludiami i interludiami. Klaskaniem w dłonie. Tańcami przeplatającymi się jak antyfony.

* * *

Oczy odsłaniano mu dopiero po zmierzchu; wtedy mógł obserwować swych porywaczy i wybawców. Już wiedział, gdzie się znajduje. Niektórym plemionom rysował mapy wy-

kraczące poza dostępne ich wiedzy granice, innym objaśniał mechanizmy broni. Muzycy zasiadali po drugiej stronie ogniska. Dźwięki liry *simsimiya* ulatywały z wiatrem. Albo też przedzierały się do niego przez ogień. Jakiś chłopiec tańczył; w poblasku ognia wydał mu się najbardziej pociągającym stworzeniem, jakie w życiu widział. Wąskie barki blade jak papirus, błyski światła odbijające się w kroplach potu na brzuchu, nagość wyzierająca przez rozcięcia niebieskiej szaty – jak pokusa sięgająca od karku do łydki, jak zygzak brązowej błyskawicy.

Otaczała go pustynna noc, przez którą przetaczały się w bezładzie burze i karawany. Zawsze czaiły się wokół niego tajemnice i zagrożenia, jak wtedy, kiedy siedząc na piasku i po omacku przesuując ręką po głowie, strzygł się obustronną brzytwą. Nie wiedział wtedy, czy śni, czyste ostrze nie sprawiało bólu, musiał rozmazać sobie krew na głowie (twarzy nadal nie mógł nawet musnąć), by wskazać porywaczom, że się zranił. Ta wioska bez kobiet, do której przyniesiono go w całkowitej ciszy, cały ten miesiąc, kiedy nie oglądał księżycy – czy wszystko to nie było złudzeniem? Majakami śnionymi, kiedy pozostawał w ciemności, pod okładem z nasyczonego oliwą filcu?

Przekraczali łożyska rzek, w których płynęła woda. Na otwartych przestrzeniach natrafiali niekiedy na ukryte osady; czekał, póki nie dokopali się do pokrytych piaskiem pomieszczeń albo do źródeł wody. Czyste piękno owego niewinnego, tańczącego chłopca, jak dźwięk głosu chórzysty, który zapamiętał jako najczystszy z tonów, najczystsza źródlaną wodę, najprzejrzystszą toń morską. Tu, na pustyni, która była kiedyś morzem i gdzie nic nie było przytwierdzone ani stałe, wszystko się poruszało – jak skraj szaty na ciele chłopca, jakby zanurzającego się i wyłaniającego z oceanu czy też z matczynej łona. Chłopca wpadającego w podniecenie, wystawiającego genitalia na poblask ognia.

Potem ogień zasypano, spowijał ich dym. Wibrowanie instrumentów muzycznych, dźwięki opadające jak tętno lub deszcz. Chłopiec wyciągnął rękę ponad wygaszonym ogniskiem, by uciszyć flety. Nie było już chłopca ani odgłosu stóp, kiedy odchodził. Tylko obce łachy. Jeden z mężczyzn zebrał spernę, która rozprysnęła się po piasku. Podszedł do białego instruktora od zasad działania broni i natarł nią jego dłoń. Na pustyni nie darzy się wciąż niczego oprócz wilgoci.

* * *

Zbliżyła się do lichtarza, podniosła go i przyjrzała się ścianie pokrytej sztukaterią. Zebrała przedtem wszystkie lustra i wyniosła je do jednego z pustych pokoi. Uniosła lichtarz i poruszyła głową, powodując przesuwanie się cienia. Nabrała wody w dłoń i zmoczyła nią sobie włosy, aż stały się zupełnie wilgotne. To ją ochładzało, lubiła wychodzić potem na zewnątrz, na powiew wiatru uciszający wzburzenie.